

Ks. Marian Machinek MSF

**Towarzyszyć w ostatniej drodze.
„Metoda asystowania umierającym”
ks. Jana Berthier a współczesna troska
o umierających**

W bogatej spuściźnie literackiej ks. Jana B. Berthier dziełko „Metoda asystowania umierającym” stanowi jedynie mały fragment całości i słusznie może być w niniejszym opracowaniu nazwane „brozurą”. Jednak niektóre skromne i objętościowo niewielkie utwory literackie mogą nabrać nowego znaczenia, gdy czyta się je w innej epoce, w kontekście innych wyzwań i problemów. Wydaje się, że nasze czasy przełomu XX i XXI w. z nową intensywnością i uwagą zajmują się problematyką śmierci i umierania. W takim kontekście świadectwa tej tematyki, pochodzące z innych epok i okresów historycznych mogą być nie tylko interesującą lekturą historyczną, ale także dostarczyć cennych impulsów do rozwiązywania współczesnych problemów, rodzących się na granicy życia i śmierci. Pytanie, które stoi u źródeł niniejszej refleksji brzmi: czy i w jaki sposób omawiane dziełko ks. J. Berthier może stać się źródłem inspiracji dla współczesnych chrześcijan, którzy próbują towarzyszyć umierającym?

1. Kilka uwag o treści omawianej broszury

Ponieważ treść i kontekst „Metody” zostały już szerzej omówione w opracowaniu ks. W. Biedrzyckiego MSF, ograniczę się tutaj do kilku zupełnie osobistych spostrzeżeń. Kiedy czyta się to małe dziełko naszego Założyciela nie można oprzeć się wrażeniu, że odzwierciedla ono typowe cechy jego twórczości literackiej.

Po pierwsze z utworu tego emanuje coś, co można by określić jako „troska o dusze”, gorliwość w pracy nad ich zbawieniem. Ks. Berthier jest cały ogarnięty troską o zbawienie każdego pojedynczego człowieka. W realizacji tego dzieła, które zawsze uważał za swoje posłannictwo nic nie jest w stanie mu przeszkodzić, nic też nie może go na tej drodze zatrzymać. Temu celowi służyła cała ponad trzydziestoletnia działalność rekolekcyjna Ojca Założyciela, a także dzieło jego życia – Zgromadzenie Misjonarzy Świętej Rodziny. Moment umierania był w rozumieniu ks. Berthier momentem absolutnie rozstrzygającym o losie człowieka, momentem podjęcia ostatniej, a jednocześnie najważniejszej decyzji. Był to także moment, w którym człowiek umierający stawał się niejako areną szczególnie intensywnej walki duchowej, przedmiotem szczególnego zainteresowania szatana i stąd jego wnętrze było targane pokusami, mającymi w ostatniej chwili zaprzepaścić jego zbawienie. Trudno się, zatem dziwić, iż wśród tak dramatycznych obrazów, rady i zalecenia Ojca Założyciela brzmią niemal jak rozkazy generała na linii frontu, który nie ma czasu na zbędne uzasadnienia i wprowadzenia, gdy ważą się losy jego żołnierzy. Ten aspekt będzie istotny dla zrozumienia tonu sformułowań i uwag, jakich używa Ojciec Założyciel, nie tylko w „Metodzie”, ale w całej swojej spuściźnie literackiej.

Dzisiejszego obserwatora może dziwić – i chyba nieco razić – zalecenie Ojca Założyciela, by „chorego pouczyć o prawdach absolutnie koniecznych do zbawienia”. Z dzisiejszego punktu widzenia brzmi to odrobinę nachalnie. Jednak również tutaj przebija misjonarskie doświadczenie ks. Berthier. Omawiana broszura, jak zresztą wszystkie pozostałe jego dzieła, nie były kierowane do abstrakcyjnych adresatów. Ojciec Założyciel mało troszczył się o to, co potomni powiedzą o jego twórczości. Była to twórczość „użytkowa”, dla konkretnych ludzi, pochodzących z jego epoki, których potrzeby, mentalność, wady i zalety doskonale znał. Jego dzieła miały przynieść korzyść „tu i teraz”, inaczej zapewne nie byłyby, dla ks. Berthier warte funta kłaków. Dlatego też tak istotne jest interpretowanie ich z uwzględnieniem ich niepowtarzalnego „Sitz im Leben”, tzn. ich konkretnego kontekstu kulturowego. Ojciec Berthier wiedział, że ktoś, kto chce towarzyszyć umierającym, będzie zazwyczaj miał przed sobą nie tylko analfabeta, ale jednocześnie człowieka nie posiadającego nawet fundamentalnej wiedzy religijnej. Dlatego pouczenie o prawdach koniecznych

do zbawienia było czymś w rodzaju „ewangelizacji w pigułce”, dzięki której umierający będzie mógł w ogóle świadomie podjąć decyzję o wezwaniu kapłana. Prawdy te autor „Metody” powtarza w formie pewnego „katalogu” już w pierwszej części swego dziełka, zapewne po to, aby ktoś, kto czuwa przy chorym, już na pierwszy rzut oka mógł sobie przypomnieć, co w tej chwili jest istotne.

„Metoda” ma wyraźnie sformułowanych adresatów: została ona napisana – jak stwierdził autor – „by ją rozpowszechnić w rodzinach”, a jego życzeniem było, aby w ramach pewnej niewielkiej, kilkunasto-, kilkudziesięcioosobowej społeczności („na każdej ulicy naszych miast”) był ktoś przygotowany do towarzyszenia umierającym. Jasne jest, że musiał to być „swój”, ktoś pochodzący z danej społeczności, znający swoje otoczenie i wiedzący, do kogo trzeba by się udać, by zaoferować pomoc. Adresatami są, zatem ludzie świeccy, o czym jeszcze niżej przyjdzie szerzej powiedzieć. Ponieważ jednak ci, którzy mieli wykonywać to trudne zadanie sami zapewne byli obciążeni podobnymi brakami, co ich otoczenie, dlatego też „Metoda” była także dla nich czymś w rodzaju „katechizmu”, a jednocześnie zupełnie prostego instruktażu, co i kiedy należy zrobić i mówić. Jeszcze raz warto podkreślić na wskroś praktyczny zamysł ks. Berthier, który starał się o wielkich sprawach mówić takim językiem, jaki jego słuchacze rozumieli.

I jeszcze jedna uwaga. Mimo poważnego, niemal surowego klimatu dziełka przebija zeń wiele ciepła w stosunku do osoby umierającej. Zalecenie, by nie męczyć umierającego i mu się nie naprzykrzać zbytnią gadatliwością wtedy, gdy jest już w agonii, odzwierciedla praktyczną wiedzę autora „Metody”. Ojciec Założyciel wiedział zapewne z własnego doświadczenia, iż w ostatnich godzinach obecność jest ważniejsza od słów, a gesty mówią o wiele więcej, niż pouczenia. „Metoda”, jak zresztą jej autor we wstępie potwierdza, nie narodziła się przy biurku, ale była owocem doświadczeń, zebranych przez niego samego, a także przez inne, obdarzone chrześcijańską intuicją osoby, które odczuwały potrzebę towarzyszenia umierającym. Jednak również i one nie musiały zaczynać od zera. Myśl o potrzebie towarzyszenia umierającym nie była ani nowa, ani oryginalna, ale miała swoją długą historię.

2. Miejsce „Metody” w tradycji chrześcijańskiej „sztuki umierania”

Troska o słabych, odrzuconych, kalekich i umierających była cechą od samego początku odróżniającą chrześcijaństwo od typowych cech kultury hellenistycznej. Starożytność grecko-rzymska znała wprawdzie i ceniła sztukę lekarską, ale troska o umierających lub też jakakolwiek zinstytucjonalizowana troska o chorych i słabych była jej obca. Przykładem może być chociażby żyjący ponad cztery wieki przed Chrystusem legendarny lekarz grecki, Hipokrates, od którego pochodzi (lub też, któremu jest przypisywany) cały szereg pism zwanych pod nazwą *Corpus Hipocraticum*. Otóż Hipokrates, którego skądinąd znamy z jego sławnej „Przysięgi” jako zdecydowanego wroga eutanazji i aborcji, radził swoim lekarzom, aby nie zajmowali się nieuleczalnie chorymi i umierającymi. I tak nie będą mogli uchronić ich od śmierci, a jej nadejście mogłoby być przez otoczenie zinterpretowane jako porażka sztuki lekarskiej i przez to zaszkodzić wysokiemu szacunkowi, jakim otaczano zawód medyka. Gdy Thanatos (śmierć) przychodził, Asklepios (lekarz) powinien odejść! Troska o słabych i chorym nie była do pogodzenia ze starożytnym kultem witalności, młodości i siły, z drugiej zaś strony zakładała coś, z czym starożytność przedchrześcijańska nigdy sobie nie poradziła. Zakładała ona mianowicie, iż cierpienie może mieć sens. Właśnie brak jakiegokolwiek sensu cierpienia sprawiał, iż czołowi myśliciele starożytni byli w stanie zaakceptować przerwanie życia, które pełne było cierpienia i zmierzało nieuchronnie ku śmierci. Nie było to nic innego jak współczesna eutanazja, chociaż starożytni tą nazwą określali raczej spokojną i pozbawioną cierpień, ale naturalną śmierć (w języku greckim słowo *eu* oznacza *dobry, łagodny*, a *thanatos* – *śmierć*).

Zupełnie odmienna perspektywa, w jakiej chrześcijaństwo widziało życie, śmierć i przemijanie, w szczególności perspektywa męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa, sprawiła, iż opieka nad każdym człowiekiem potrzebującym, szczególnie starym, chorym, cierpiącym i umierającym stała się szybko niemalże wizytówką chrześcijan. Dzięki kultowi męczenników, których szczątki chrześcijanie umieszczali w ołtarzach w miejscach swego kultu, zmieniło się radykalnie podejście do śmierci. Podczas gdy pogańska starożytność grzebała swoich zmarłych poza obrębem miast, a kontakt ze zwłokami i miejscem pochówku otoczony był

mieszaniną lęku i odrazy, dla chrześcijan zmarli byli częścią wspólnoty, która znajduje się w chwale Ojca. Fakt, iż w czasie prześladowań wielu chrześcijan wybierało raczej śmierć, niż zdradę swojej wiary zmuszał wszystkich wierzących, (którzy jutro sami mogli stać się męczennikami) do konfrontacji z sensem śmierci i do zadania sobie egzystencjalnego pytania o to, czy istnieją wartości wyższe, niż tak wysoko ceniona wartość życia. Wiara w świętych obcowanie pomagała w nieskrępowanym i wolnym od tabuizacji podejściu do tajemnicy śmierci.

W średniowieczu cmentarze, mieszczące się zazwyczaj wokół świątyń, były miejscami spotkań, czymś w rodzaju „rynków”, na których toczyło się żywe życie społeczne. Nie oznaczało to jednak bagatelizacji śmierci. Pozostała ona dla chrześcijan wrogiem, którego pokonanie przyrzeczone zostało przez Boga dopiero w czasie powtórnego przyjścia Chrystusa. Śmierć była ościeniem grzechu, jego skutkiem, kłatwą, jaką grzech sprowadził na cały ludzki rodzaj. Jednak perspektywa życia wiecznego pozwalała inaczej podchodzić do faktu śmierci, bez rozpacz, chociaż z ogromną powagą i respektem. Były jednak czasy, w których konfrontacja ze śmiercią była szczególnie intensywna. Takim okresem było późne średniowiecze, a więc wieki XIV i XV. Zainteresowanie śmiercią w tym okresie związane było ze szczególnym nagromadzeniem się bodźców, zmuszających do refleksji nad jej sensem. Był to, bowiem czas wielkiej epidemii, które powodowały wyludnianie się całych regionów. O ich rozmiarach niech świadczą dane historyków. Twierdzą oni, że w czasie od 1326 do 1400 r. 32 lata były uważane za lata zarazy; w czasie od 1400 do 1500 r. lat takich było 41, a w czasie od roku 1500 do 1600 – 30. Wobec „morowego powietrza” ludzie tamtej epoki byli zupełnie bezbronni. Nic więc dziwnego, że tak częsta i intensywna konfrontacja ze śmiercią doprowadziła do wytworzenia swoistego rodzaju literatury, znanej pod ogólną nazwą „ars moriendi” (sztuka umierania). Utwory tego typu literatury dzieli się zwykle na dwie grupy. Na pierwszą z nich składają się cykle rycin, złożonych zazwyczaj z jedenastu obrazów, przedstawiających zmaganie człowieka umierającego w ostatnich momentach życia. Obrazy te ułożone są w pary, z których każda przedstawia najpierw pokusę do popełnienia jakiegoś grzechu, a potem pociechę i pomoc w przezwyciężeniu tej pokusy. Centralnym elementem każdego obrazu jest łóżko z umierającym, które stanowi niejako środek sceny, na której przesuwają się różne obrazy. Scena ta jest też pełna postaci,

zarówno kusicieli, przybierających postać szkodliwych zjaw i potworów, jak też osób z życia umierającego, związanych z daną pokusą i w końcu też postaci świętych i aniołów, pomagających odeprzeć ataki złych duchów. Jako przykład może służyć para obrazów przedstawiająca pokusę chciwości i pociechę płynącą z wyrzeczenia się dóbr ziemskich. Pierwszy z obrazów przedstawia krewnych umierającego (nawet małe dziecko, być może należące do umierającego), a obok nich szkice jego dóbr ziemskich: piękny dom, beczki pełne wina, pięknego konia. Sugerowana mu pokusa dotyczy troski o najbliższych i o swoje dobra. Obok postaci kusicieli widać „wstęgi”, czyli ówczesny rodzaj współczesnych „dymków” w komiksach, zawierające ich słowa: „Prouideas amicis!” („zatrósz się w swoich krewnych!”), „Intende thesauro!” („zwróć uwagę na swoje skarby!”). Wymowa całej sceny jest oczywista: Dlaczego miałbyś myśleć o śmierci, skoro tyle jest jeszcze do zrobienia, skoro trzeba jeszcze korzystać z życia i zatroszczyć się o najbliższych? Zostaw to na potem! Na niektórych przedstawieniach tej sceny dodano jeszcze postać złodzieja, który właśnie kradnie wino z piwnicy, a wszystko po to, by jeszcze bardziej skoncentrować uwagę umierającego na dobrach doczesnych. Temu obrazowi pokusy przyporządkowany jest obraz pociechy i wezwanie do odwrócenia się od rzeczy doczesnych. Obok łóżka umierającego pojawia się anioł zakrywający płachtą dwie postacie krewnych, aby umierający mógł się skoncentrować na tym, co najważniejsze – na zwróceniu się ku Bogu. Obok łóżka pojawia się krzyż z postacią cierpiącego Chrystusa i postać Matki Bożej, które sugerują umierającemu, że nawet Zbawiciel musiał pożegnać się z najbliższą sobie Osobą. Na obrazie pojawiają się też postacie zbawionych oraz symboliczne postacie owiec, przypominającą scenę sądu ostatecznego z Ewangelii (Mt 25, 31-46). Inne pary obrazów w omawianym rodzaju „ars moriendi” to: pokusa wątpliwości w wierze i pociecha płynąca z wiary, pokusa rozpacz i wezwanie do nadziei, pokusa zniecierpliwienia i zachęta do cierpliwości, pokusa pychy i wezwanie do pokory, pokusa rozpacz i wezwanie do wiary w Boże miłosierdzie. Jedenasty obraz, zamykający cały cykl, ukazuje sam moment śmierci. Umierający tryumfuje nad wszelkimi pokusami, kusiciele pierzchają w popłochu, a dusza opuszczająca ciało zostaje przyjęta przez aniołów.

To odrobinę przydługie przedstawienie obrazowych przedstawień późnośredniowiecznej „ars moriendi” pozwala nie tylko uchwycić atmosferę

tamtejszych czasów, ale także wysunąć przypuszczenie, iż ks. Jan Berthier, znany przecież jako kompilator tekstów, mógł znać te przedstawienia, chociaż dzieliła go od czasów ich powstania przestrzeń kilkuset lat. Tego typu literatura była, bowiem niezwykle szeroko kolportowana w Europie również w późniejszych epokach. Również w Polsce znane są tego typu przedstawienia jak np. dzieła reformatora Akademii Krakowskiej, Mateusza z Krakowa (1345–1410). Już na pierwszy rzut oka widać zbieżność niektórych motywów między tego typu dziełami, a „Metodą”, jak np. zalecenie ks. Berthier, aby od łóżka umierającego odeszli krewni, w razie, gdyby swoim pełnym bólu zachowaniem mieli wprowadzić zamęt w stan duchowy umierającego, co szczególnie odnosiło się do tych osób, które były dla niego okazją do grzechu. Jeżeli nawet Ojciec Założyciel nie znał tego typu literatury, to jednak mógł być pod wpływem modelu duchowości, wyrosłego z literatury „ars moriendi”.

Przypuszczenie to utwierdza się, gdy spojrzymy na drugi rodzaj przedstawień z gatunku „ars moriendi”. Są to traktaty, zawierające rozważania i modlitwy, których tematem jest kruchość i przemijalność bytowania ziemskiego i nieuchronna perspektywa śmierci oraz sądu. Niektóre z tych utworów zawierały również szczegółowe wskazania dla osób towarzyszących umierającemu. Przykładem tego typu, a jednocześnie sztandarowym dziełem z gatunku „ars moriendi” jest trzecia część „Opusculum tripartitum de praeceptis decalogi, de confessione et de arte moriendi”, którego autorem jest profesor i kanclerz paryskiej Sorbony, Jan Gerson (1363–1429). Ostatni fragment tego dzieła, odnoszący się do sztuki umierania, już wcześniej został wydzielony z całości dzieła, był tłumaczony, uzupełniany i komentowany przez wielu naśladowców. Dzieło Gersona składało się z czterech bloków: *exhortationes* (napomnienia), *interrogationes* (pytania), *orationes* (modlitwy) oraz *observationes* (pouczenia). *Napomnienia* miały na celu pomoc w realistycznej ocenie sytuacji, w jakiej znajduje się umierający. Zbliżał się on do śmierci, która jednakowo dotyka możnych i biednych. Przeżył już życie, którego rozpatrywanie mogło mu dać zarówno powód do wielkiej wdzięczności Bogu, jak też powód do żalu za wiele popełnionych grzechów. W tej przedśmiertnej godzinie powinien jednak zwrócić się jedynie ku Bogu. Temu odniesieniu służyły *pytania* dotyczące wiary, a mające na celu osiągnięcie odpowiedniej dyspozycji umierającego i wzmocnienie jego ufności. I tak miał on być zapytany

o wiarę i gotowość do pojednania, o gotowość do wyznania wszystkich grzechów i do zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy. Z kolei teksty załączonych krótkich *modlitw* przeznaczonych do odmawiania przez umierającego lub osoby mu towarzyszące, wyrażały wiarę w zbawienie osiągnięte nie na podstawie własnych zasług, ale poprzez zbawczą śmierć Chrystusa. Były tam też modlitwy kierowane do aniołów, szczególnie anioła stróża oraz świętych patronów. Ostatnia czwarta część, zawierała *pouczenia*, skierowane do osoby towarzyszącej umierającemu, a dotyczące zadbania o przyjęcie przez tego ostatniego sakramentów, szczególnie, gdy sytuacja odbiega od normy (np. utrata mowy przez umierającego itp.). Traktat Gersona był rodzajem kompendium zawierającym teoretyczne podstawy jak i praktyczne wskazówki, a także modlitwy konieczne do godnego przeżywania własnej śmierci i towarzyszenia umierającym.

Podobieństwo do „Metody” ks. Berthier jest uderzające. Ta ostatnia zawiera wszystkie cztery elementy dzieła Gersona, chociaż oczywiście w oryginalnym zestawieniu Ojca Założyciela. Oba dzieła zdają się także „oddychać” tym samym duchem wyrzeczenia się tego, co przemijające, a zwrócenia się ku temu, co wieczne. Przypuszczenie, iż gersonowska „ars moriendi” były znana Ojcu Założycielowi wydaje się prawdopodobne także z tego względu, iż ks. Berthier w wielu innych swoich dziełach cytuje Gersona, uważając go za jednego z „mistrzów życia duchowego”. Być może powiązania te były pośrednie, mianowicie sposoby towarzyszenia umierającym, z jakimi zetknął się ks. Berthier i które uwiecznił w swojej „Metodzie”, były dalekimi reminiscencjami gersonowskiej „ars moriendi”. Jako ciekawy szczegół można uznać fakt, iż dzieło Gersona kierowane było nie tylko do duchowieństwa, ale także do osób świeckich, towarzyszących umierającemu oraz do wszystkich pragnących poznać chrześcijańską sztukę umierania. Taki wybór adresatów był odzwierciedleniem dokonujących się w późnym średniowieczu przemian socjo-kulturowych, a szczególnie zwiększenia roli mieszczaństwa jako nowego nośnika kultury oraz istotnego czynnika rozwoju gospodarczego.

Pora zapytać o to, czy omawiana broszura, która przecież wyrosła z innych warunków socjo-kulturowych i teologiczno-duchowych może być dzisiaj pomocna w trosce o umierających? Jakie jej motywy, myśli i wskazania mogły by być istotne dzisiaj?

3. Jakie elementy „Metody” są aktualne dzisiaj?

Wskazania Ojca Założyciela, a tym bardziej dzieła późnośrednio-wiecznej „ars moriendi”, wyrosły na zupełnie innym podłożu społeczno-kulturowym, niż to, które stanowi nasz współczesny kontekst życia. Choć i dzisiaj ludzie giną od „powietrza, głodu, ognia i wojny”, to jednak te plagi ludzkości, które wymieniamy w „Suplikacjach” nie są przez ogół naszego społeczeństwa przeżywane na własnej skórze i postrzegane jako bezpośrednio zagrażające. Wydaje się jednak, że warto zwrócić uwagę na trzy motywy, wspólne zarówno dla „Metody”, jak też ogólnie dla duchowości karmionej utworami z gatunku „ars moriendi”, które musiałyby także stanowić elementy współczesnej „metody towarzyszenia umierającym”. Pierwsze dwa będą odnosiły się nie tyle do konkretnego sposobu postępowania z umierającymi, ile mogą być potraktowane szerzej jako elementy chrześcijańskiego stosunku do śmierci, chrześcijańskiej „sztuki umierania”.

3.1. Prymat Boga

Jeżeli porównamy długość życia przeciętnych ludzi za czasów Ojca Założyciela to stwierdzimy dosyć znaczące wydłużanie się życia. W porównaniu z oczekiwaniami ludzi późnego średniowiecza będzie to niemalże stuprocentowe wydłużenie się życia. Statystyki podają, że jeszcze w 1855 r., a więc w czasach nie tak bardzo odległych od epoki Ojca Założyciela, średnia długość życia w zachodniej Europie (Niemcy) wynosiła 37,2 lata, podczas gdy w roku 1985 sięgała ona 74,6 lat. W porównaniu z naszymi przodkami z czasów Gersona i Berthier statystyczny człowiek współczesny ma, zatem niemalże „drugie życie” do dyspozycji, czyli żyje dwa razy tak długo, jak oni. Trzeba jednak dodać, że chodzi tutaj o podwójne życie doczesne. Bo jednocześnie współczesność, określana mianem epoki ponowoczesnej (postmodernistycznej) dokonała swoistego „zamknięcia horyzontu”. Człowiek średniowiecza żył krótko, ale miał przed sobą perspektywę życia wiecznego, perspektywę życia bez kresu. Trudno się zatem dziwić, że w konfrontacji z wszechobecną śmiercią, która dosięgała wszystkich, możliwych tak samo jak nędzarzy, koncentrował się na tym

co trwałe i nieprzemijające, odwracając uwagę od tego, co doczesne, a nawet patrząc na przemijające dobra z pogardą. Myśl ponowoczesna zamknęła ten wcześniej otwarty horyzont, zabierając człowiekowi perspektywę życia wiecznego. Choć w każdej epoce żyli kontestatorzy, którzy odrzucali istnienie Boga i wiecznego życia po śmierci, jednak upowszechnienie się ateizmu w szerokich rzeszach społecznych jest zjawiskiem nowym. Do mentalności społecznej przeniknęło wiele schematów myślowych, które – chociaż nie deklarują otwarcie ateizmu – nie liczą się jednak z istnieniem Boga, z faktem Bożego sądu, z perspektywą wiecznego zbawienia, czy potępienia. Wielu nam współczesnych żyje „jakby Boga nie było”, często nie zdając sobie z tego w pełni sprawy, co niektórzy określają jako postawę „ateizmu praktycznego”.

Zjawisko to nie pozostało bez wpływu na sposób, w jaki postrzegana jest śmierć i umieranie. Chociaż z jednej strony nikt z naszych przodków nie był konfrontowany z taką ilością wiadomości o zgonach, jak jest to poprzez media masowe naszym udziałem, to jednocześnie „prawdziwa śmierć” została wypchnięta do podświadomości i poza obszar społecznego życia. Ktoś powiedział słusznie, iż podyktowana praktycznymi powodami likwidacja konduktów żałobnych oraz ograniczenie ceremonii pogrzebowych do obrębu cmentarza, spowodowało to, że w dużych miastach odnosi się wrażenie, że „tutaj się nie umiera”. Wszelkie przypomnienie o śmierci jest niewygodne, gdyż prowadzi do konieczności udzielenia sobie odpowiedzi na podstawowe pytania.

To, czego nie można zagubić, aplikując „Metodę” ks. Berthier do naszych czasów to podkreślenie absolutnego pierwszeństwa Boga. Potrzeba katechezy wynikała za jego czasów z analfabetyzmu, zaniedbań w wychowaniu religijnym. Dzisiejszy człowiek jest nieporównanie bardziej wykształcony, ale jednocześnie nie zna często podstawowych prawd wiary. Częściowo dzieje się tak ze względu na zaniedbania wychowania religijnego, częściowo jednak ludziom współczesnym głosi się Ewangelię w taki sposób, że jej „nie słyszą”. Przed ludźmi współczesności trzeba na nowo „otworzyć horyzont”, pozbawiając ich złudzenia, iż wszystko, co człowiek ma, to długie i wygodne, w miarę zdrowe i pozbawione problemów życie „przed śmiercią”. Chrześcijańska sztuka umierania będzie jasno i bez zażenowania mówiła o Bogu, który jest kochającym Ojcem, ale jednocześnie sprawiedliwym Sędzią. Nie oznacza to oczywiście, iż cierpiącym i umie-

rającym ludziom trzeba robić wykłady na temat katechizmu, ale też nie może być tak, że temat Boga, wieczności, sądu jest przy łóżku umierającego nieobecny, z obawy przed jego reakcją.

W niemieckojęzycznej literaturze teologicznej ukuło się określenie „*Drohbotschaft*”, które można by przetłumaczyć jako „nowina groźby”. Jest to pewien neologizm, zbudowany od innego słowa: „*Frohbotschat*”, którym zawsze już określano „Dobrą Nowinę”, Ewangelię Jezusa Chrystusa. Pojęcie „*Drohbotschaft*” ma, zatem oznaczać pewien styl przepowiadania, obliczony na wywołanie u słuchacza strachu i oparty na głoszeniu surowości Boga, sądu ostatecznego, możliwości potępienia. Jest to, więc pojęcie zabarwione bardzo negatywnie. Zamiast takiej „nowiny z groźącym palcem” należy, jak twierdzą zwolennicy takiego przeciwstawienia, głosić ludziom dobroć i miłosierdzie Boga, który przecież pragnie uratować każdego człowieka. Jak to zazwyczaj w takich razach bywa, w powyższym postulacie jest ziarno prawdy. Koncentracja na grzechu, sądzie, potępieniu i surowości Boga stanowiła faktycznie jeszcze w niedalekiej przeszłości centralny punkt przepowiadania, szczególnie rekolekcyjnego, a zapal niektórych kaznodziejów skupiał się na wywołaniu u słuchaczy płytkich, ale też krótkotrwałych, uczuć lęku i respektu wobec Boga. Być może z niektórych zdań „Metody” mogą przebijać elementy, które w naszym odczuciu sprawiają raczej mroczne wrażenie. Dzisiejsze przepowiadanie jednak zdaje się popadać w drugą skrajność, omijając zupełnie tę tematykę, w obawie, by nie narazić się na zarzut „przepowiadania nowiny lęku i groźby” zamiast Dobrej Nowiny. Ewangelia Jezusa Chrystusa, chociaż jednoznacznie pokazuje nam obraz miłosiernego i dobrego Ojca, który nie waha się wydać swojego Syna za zbawienie ludzi, wskazuje jednak wyraźnie również na tragiczną powagę grzechu, a przede wszystkim ma tragiczną możliwość odrzucenia odkupienia wysłużonego przez Chrystusa. Obydwie skrajności, zarówno koncentracja na surowości Bożego sądu, jak też unikanie w ogóle przepowiadania na ten temat należy odrzucić. Jednak powaga ludzkiego losu i dokonywanych przez człowieka w obliczu Boga decyzji, pozostanie, jak w „Metodzie” Ojca Założyciela, stałym i niezmiennym elementem chrześcijańskiego stosunku do śmierci i chrześcijańskiej troski o umierających.

3.2. Sztuka życia

Niektóre fragmenty tekstów Ojca Założyciela zdają się tchnąć duchowością wielkiego dystansu, żeby nie powiedzieć nieufności wobec wszystkiego tego, co mieści się w wyrażeniu „rzeczywistości ziemskie”. Szczególnie ostro rysuje się tego typu duchowość w klasycznych utworach z gatunku „ars moriendi”, gdzie troska o życie pośmiertne i koncentracja na momencie śmierci idzie w parze z pogardą dla wszystkiego, co światowe i zmysłowe. Współczesna duchowość chrześcijańska jest trochę inna. Stara się doceniać to, co w otaczającym nas świecie piękne i dobre, umie się cieszyć stworzeniem, docenia znaczenie godziwej przyjemności. Jednocześnie jednak tam, gdzie wiara chrześcijańska nie przenika życia, a stanowi jedynie swoisty dodatek do codzienności, tam chrześcijanie ulegają modelowi myślenia naszych czasów, znanym pod nazwą konsumizmu. Ten sposób myślenia prowadzi do postrzegania siebie samego i innych w kategoriach rzeczywistych czy potencjalnych „klientów”, a ich znaczenie jest obliczane ich siłą nabywczą. Stąd już tylko krok do mierzenia jakości życia ilością posiadanych sprzętów, przeżytych wrażeń, posiadanej władzy. Ten prawdziwie „jest”, kto więcej „ma” – tak zdaje się brzmieć motto wielu współczesnych ludzi. Taka mentalność doprowadza do niezwykle głębokiego przywiązania do posiadanych dóbr, do postawy, którą można by nazwać „zaklęciem się” na tym, co się posiada i kim się jest, do kurczowego trzymania się wszystkiego, co stanowi element ziemskiego życia. Nic, więc dziwnego, że w takiej mentalności nie ma miejsca na konfrontację ze śmiercią, gdyż każda myśl o niej jest przypomnieniem, iż wszystko, co posiadam zostanie mi odebrane w momencie odejścia z tego świata. Ktoś, kto nie podziela nadziei na życie wieczne, będzie próbował zintensyfikować jakość swojego życia, próbować zgromadzić więcej rzeczy, przeżyć więcej wrażeń, zdobyć więcej władzy. Chociaż jednak, jak już wyżej powiedziano, dzisiejszy statystyczny człowiek ma w porównaniu do ludzi ubiegłych epok niemal „drugie życie” do dyspozycji, to jednak i tak na progu śmierci będzie musiał z żalem stwierdzić, iż pozostało jeszcze bardzo wiele spraw, których nie zdążył doświadczyć.

Chrześcijańska „sztuka umierania” pozwala inaczej spoglądać na życie doczesne. Nie będzie ona podzielała pogardy świata, obecnej w niektórych dziełach chrześcijańskich mistrzów przeszłości, ale jednocześnie zachowa dystans do wszystkiego, co nie jest Bogiem. Przyjęcie faktu

śmiertelności i konkretnych faktów odchodzenia naszych bliskich w duchu chrześcijańskiej wiary będzie prowadziło do „zwolnienia uścisku”, z jakim staramy się zatrzymać to, co posiadamy. Ojciec Założyciel podkreślał często wagę postawy dystansu do rzeczy stworzonych, która jest najlepszym przygotowaniem na własną śmierć. Jeżeli pokusić się o interpretację słów Pana Jezusa: „Kto chce zachować swoje życie straci je, a kto straci swe życie z powodu Mnie i Ewangelii, ten je zachowa” (Mk 8, 35) w kontekście śmierci, to obrazują one te dwie zupełnie odmienne postawy: z jednej strony postawę pragnącą zachować za wszelką cenę to, co się posiada, co się przeżywa i czym się jest; z drugiej strony postawę spokoju wobec faktu przemijającego życia. „Metoda” ks. Berthier wskazuje drogę ku pielęgnowaniu tej drugiej postawy.

3.3. Postać „amicusa”

I wreszcie trzeci element „Metody”, który będzie już dotyczył ściśle problematyki towarzyszenia umierającym. To, co rzuca się w oczy przy analizie gersonowskiej „Ars moriendi” i berthierowskiej „Metody” to wspomniany już wyżej fakt, iż pierwszorzędnymi adresatami tych dzieł są ludzie świeccy. To ich zadaniem jest towarzyszenie umierającym w ostatnich chwilach życia. Nie jest to zadanie łatwe, gdyż ostatnia droga może być naznaczona wielkim bólem i cierpieniem, a przebywanie w obecności osoby umierającej nie pozostaje bez śladu w psychice tych, którzy świadomie jej towarzyszą. A jednak Jan Gerson nie waha się stanowczo stwierdzić, iż obowiązkiem prawdziwego przyjaciela, jest nie tylko być blisko osoby darzonej przyjaźnią w czasie jej życia i choroby, ale szczególnie w momencie, gdy żegna się ze światem. Umierający, do którego zwraca się towarzysząca jej osoba, jest określany jako „drogi przyjaciel” czy „droga przyjaciółka”. Podobny motyw znajdujemy w omawianym dziele ks. Berthier, który pragnie, by dzięki niemu w lokalnych społecznościach i rodzinach znalazły się osoby, przygotowane i chętne do pełnienia tej posługi. Mogą ją pełnić członkowie rodziny umierającego, ale nierzadko potrzebują oni wsparcia kogoś z zewnątrz. Taki przyjaciel – „amicus” to postać, która również dzisiaj mogłaby odegrać istotną rolę, wobec faktu, że w społeczeństwach wysoko uprzemysłowionych ponad 80 % ludzi umiera w szpitalach. Dobrze jest, jeśli najbliżsi towarzyszą im w ostatniej drodze, jednak nierzadko są oni po prostu „odstawieni” do instytucji, które w opinii

społecznej są do tego powołane: do szpitali, hospicjów, a jeszcze wcześniej do domów opieki. Czasami brak gotowości do towarzyszenia umierającym wynika nie ze złej woli czy obojętności, ale raczej z bezradności wobec wymagań, jakie taka opieka stawia przed rodziną oraz z lęku, iż brak odpowiednich umiejętności mógłby w sposób zawiniony przyspieszyć śmierć.

Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na doświadczenia współczesnych ruchów związanych z ideą hospicjów. Ruchy te prowadzą nie tylko domy dla osób śmiertelnie chorych, ale również pomagają tym rodzinom, które decydują się na pozostawienie umierających w domu (często na ich wyraźną prośbę), jednak same nie są w stanie podołać wymaganiom związanych z opieką. Oczywiście w kontekście chrześcijańskim nie będzie chodziło jedynie o stworzenie osobom umierającym możliwie jak najlepszych warunków, do których na pewno będą należeć minimalizacja fizycznego bólu związanego z chorobą, a także odpowiednia ilość czasu dla wspólnego przebywania z chorym. Istotną sprawą będzie także podjęcie tematów związanych z Bogiem i wiarą, wspólna modlitwa, przygotowanie do przyjęcia sakramentów. Rozmowy o wierze wymagają atmosfery ciepła i życzliwości oraz wzajemnego zaufania, którego nie można wymusić. Oczywiście nie można lekceważyć faktu, iż podjęcie się takiej posługi może się wiązać z poważnymi obciążeniami duchowymi i dlatego nie może ona być podjęta przez osoby nieprzygotowane i przypadkowe. Osobowa dojrzałość, ale też takt i szacunek dla ludzi powierzonych jego pieczy będą należały do podstawowych cnót kogoś, kto zdecyduje się podjąć posługę „amicusa”. Jedno jednak jest pewne: doświadczenia współczesne potwierdzają w całej rozciągłości przekonanie Ojca Założyciela, iż tak jak przy przyjściu na świat człowiek potrzebuje pomocy innych, tak samo jest ona niezbędna przy odchodzeniu z tego świata.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na jeden element, którego ks. Berthier nie werbalizuje, chociaż pewne jego aspekty są widoczne w jego radach, dotyczących zachowania się po śmierci osoby, której się towarzyszyło. W całej rozciągłości problem, jaki warto w tym miejscu dotknąć jest jednak problemem naszych czasów, nieznanym jeszcze Ojcu Założycielowi. Przemiany społeczno-kulturowe, które doprowadziły do pewnej tabuizacji śmierci i umierania, do „wypchnięcia” ich z przestrzeni społecznej, doprowadziły także do ogromnego zubożenia form wyrażania żałoby przez

rodzinę zmarłego. W czasach ks. Berthier modele pewnych zachowań społecznych sprawiały, iż najbliższym krewnym dany był czas i pozostawiona przestrzeń na wyrażenie bólu i cierpienia, a przez to oni sami mogli lepiej to cierpienie znosić. Widoczny dzisiaj brak takich form w wielu wielkomiejskich społecznościach sprawia, iż najbliżsi nie znajdują często nikogo, kto by zechciał poświęcić im wystarczająco dużo czasu na wypowiedzenie w słowach i wyrażenie w gestach bólu i cierpienia po zmarłym. Znakiem naszych czasów jest powstanie duszpasterstwa „osieroconych”, czyli osób znajdujących się w żałobie po stracie najbliższych. Próby takiego duszpasterstwa, którego głównym elementem będzie praca w grupach osób „osieroconych” podejmowane są dzisiaj coraz częściej. Gdyby ks. Berthier żył dzisiaj, wprowadziłby zapewne taki element do swojej „Metody”. Czas po stracie najbliższych, szczególnie wtedy, gdy otoczenie przeszło już nad ich śmiercią do porządku dziennego i nie jest gotowe dłużej współczuć rodzinie, jest czasem dla niej najtrudniejszym. To jest też czas, który bywa wykorzystywany przez sekty (w niektórych dużych miastach na Zachodzie Świadcowie Jehowy odwiedzają mieszkania, kierując się nekrologami w gazetach), które wykorzystują zaniedbanie ze strony katolickich parafii lub też ich faktyczny brak możliwości, by zająć się intensywniej rodzinami w żałobie. Ks. Berthier nie zmarnowałaby takiej szansy.

Powierzchniowa lektura „Metody asystowania umierającym” ks. J. Berthier nie wzbudzi zapewne większego zainteresowania tym dziełkiem. Być może będzie mu się jedynie przypisywało wartość historyczną jako świadka mentalności i duchowości końca XIX w. we Francji. Jednak można – i chyba trzeba – pokusić się o jego reлектurę w kontekście współczesnych wyzwania: w czasach ogromnie wydłużonego życia, ale także intensywniej opieki medycznej, która może to życie jeszcze bardziej wydłużyć, która jednak w niektórych przypadkach wydłuża ponad miarę także umieranie; w czasach rosnącego wpływu mentalności eutanatycznej, która nie dostrzega żadnego sensu cierpienia; w czasach, gdy wielu ludzi żyje w obrębie „zamkniętego horyzontu”, wykluczającego perspektywę wieczności. Przekonanie o potrzebie pamiętania śmierci, jak też myśl o tym, by być z ludźmi umierającymi, by towarzyszyć im w ich ostatniej drodze, by przy całej trosce o minimalizację bólu i opiekę lekarską nie zapomnieć o trosce i wieczność, są nadal aktualne. Można nawet zaryzykować stwierdzenie,

że jest to myśl, która urasta do jednego z priorytetów współczesnego przepowiadania Kościoła. Włączenie się w ten nurt troski o umierających będzie na pewno działaniem w duchu Ojca Założyciela Misjonarzy Świętej Rodziny, ks. Jana Berthier.